



**CZARNO-
DOKA**

BLONDYŃKA

POWIEŚĆ Z PHILIPEM MARLOWE'EM

BENJAMIN

BLACK

To było jedno z tych letnich wtorkowych popołudni, kiedy człowiek zastanawia się, czy ziemia przestała się obracać. Telefon na moim biurku wyglądał jak przedmiot, który wie, że jest obserwowany. Pod zakurzonymi oknami sunęły jezdnią samochody, a dobrzy mieszkańcy naszego miłego miasta, głównie panowie w kapeluszach, przechadzali się po chodniku donikąd. Przyglądałem się kobiecie na rogu Cahuenga i Hollywood, czekającej na zmianę światła. Długie nogi, wąski kremowy żakiet z poduszkami w ramionach, prosta i wąska granatowa spódnica. Kapelusik przywodził na myśl ptaka, który przycupnął na włosach z boku głowy i radośnie się tam umościł. Spojrzała w lewo, w prawo, znowu w lewo – kiedyś musiała być grzeczną dziewczynką – wreszcie przeszła przez zalaną słońcem ulicę, płynąc wdzięcznie na własnym cieniu.

Na razie okres należało uznać za chudy. Przez tydzień bawiłem się w ochroniarza faceta, który przyleciał z Nowego Jorku boeingiem 314 clipper. Niedogolony, nosił złotą bransoletę, a na małym palcu pierścień z rubinem wielkości jeżyny. Facet przedstawił się jako biznesmen, a ja postanowiłem mu uwierzyć. Bardzo zdenerwowany, obficie się pocił, ale nic się nie stało, a ja zainkasowałem honorarium. Potem Bernie Ohls z biura szeryfa

skontaktował mnie z miłą starszą panią, której syn narkoman zwędził kolekcję rzadkich monet jej zmarłego męża. Aby odzyskać towar, musiałem użyć trochę siły, ale nic poważnego. Na jednej z monet z kolekcji widniała głowa Aleksandra Wielkiego, na innej profil Kleopatry, z tym jej nochalem... Co oni wszyscy w niej widzieli?

Brzęczyk oznajmił, że drzwi od ulicy się otworzyły, potem usłyszałem, jak przez poczekalnię przechodzi kobieta i na chwilę zatrzymuje się pod drzwiami mojego biura. Stukot szpilek na drewnianej podłodze zawsze coś we mnie budzi. Swoim specjalnym modulowanym głosem – „Możesz mi zaufać, jestem detektywem” – miałem ją właśnie zaprosić, kiedy weszła bez pukania.

Z bliska okazała się wyższa niż widziana z okna – wysoka, szczupła, o szerokich ramionach i wąskich biodrach, słowem: mój typ. Kapelusik miał maleńką woalkę z czarnego jedwabiu, sięgającą czubka nosa, ładnego czubka bardzo ładnego nosa, arystokratycznego, lecz nie za wąskiego ani niezbyt długiego, żadnego tam kinola Kleopatry. Pasujące do żakietu jasnokremowe rękawiczki do łokci uszyto ze skóry rzadkiego stworzenia, które spędziło krótki żywot na delikatnych susach po alpejskich turniach. Nieznajoma ładnie się uśmiechała, do pewnego stopnia przyjaźnie, a przy tym nieco krzywo, co nadawało uśmiechowi atrakcyjną sardoniczność. Włosy miała jasne, oczy zaś czarne, czarne i głębokie jak górskie jezioro; powieki misternie zwięzały się w kącikach. Czarnooka blondynka; nieczęsto widuje się takie połączenie. Starłem się nie patrzeć na jej nogi. Najwyraźniej bóg wtorkowych popołudni uznał, że trzeba dodać mi otuchy.

– Nazywam się Cavendish – powiedziała.

Poprosiłem, żeby usiadła. Gdybym wiedział, że przyjdzie, uczesałbym się i skropił za uszami wodą kolońską Bay Rum.

W tej sytuacji musiała jednak brać mnie takim, jakim jestem. Zresztą to, co widziała, chyba nie budziło jej sprzeciwu. Usiadła na wskazanym przeze mnie krześle przed biurkiem. Potem, palec po palcu, ściągnęła rękawiczki, przyglądając mi się bacznie czarnymi oczami.

- Czym mogę służyć, panno Cavendish? – spytałem.
- Pani.
- Przepraszam... pani.
- Przyjaciółka opowiadała mi o panu.
- Ach tak? Mam nadzieję, że dobre rzeczy.

Poczęstowałem ją camelem z paczki na biurku, którą trzymałem dla klientów, ale otworzyła torebkę z lakierowanej skóry, wyjęła srebrną papierośnicę i kliknęła kciukiem zatyczkę. Sobranie black russian, cóż innego? Kiedy podałem jej ogień nad biurkiem, pochyliła się w przód, przekrzywiła głowę z przymkniętymi powiekami i na moment dotknęła mojej dłoni opuszką palca. Z uznaniem spojrzałem na perłowy różowy lakier na paznokciach, ale nic nie powiedziałem. Oparła się na krześle, założyła nogę na nogę pod wąską granatową spódnicą i raz jeszcze posłała mi chłodne, szacujące spojrzenie. Nie spieszyła się w formowaniu opinii na mój temat.

- Chciałabym, żeby pan kogoś znalazł – oświadczyła.
- Tak. Kto to taki?
- Człowiek o nazwisku Peterson, Nico Peterson.
- To pani przyjaciel?
- Kiedyś był moim kochankiem.

Jeśli oczekiwała, że w wyniku szoku połknę własne zęby, spotkało ją rozczarowanie.

- Był?
- Tak. W dość tajemniczy sposób zniknął, nawet się nie żegnając.
- Kiedy to się stało?

– Dwa miesiące temu.

Dlaczego zwlekała tak długo przed przyjściem do mnie? Postanowiłem nie pytać, przynajmniej na razie. Osobliwie się czułem, obserwowany przez chłodne oczy zza przejrzystej czarnej siateczki. Jakby ktoś przyglądał mi się z ukrycia, przyglądał się i oceniał.

– Powiedziała pani, że zniknął – podjąłem. – To znaczy: z pani życia czy całkowicie?

– Wygląda na to, że jedno i drugie.

Czekałem na więcej, ale ona tylko cofnęła się jeszcze odrobinę i znowu się uśmiechnęła. Ten uśmiech; wyglądał tak, jakby dawno temu przytknęła do niego zapaloną zapałkę i pozwoliła mu się żarzyć. Urocza wysunięta górna warga przypominała wargę niemowlęcia; mięciutka, trochę nabrzmiała, jakby niedawno sporo całowała, i to bynajmniej nie małe dzieci. Najwyraźniej wyczuła, że z powodu woalki czuję się nieswojo, bo odgarnęła ją z twarzy. Bez woalki oczy robiły jeszcze większe wrażenie: matowy odcień foczej czerni sprawił, że coś ugrzęzło mi w gardle.

– Proszę powiedzieć mi o tym Petersonie – powiedziałem.

– Dość wysoki, jak pan. Brunet. Przystojny, w typie słabeusza. Nosi głupawy wąsik w stylu Dona Ameche. Ładnie się ubiera, a przynajmniej tak było, kiedy miałam coś do powiedzenia w tej kwestii.

Z torebki wyjęła krótką hebanową firkę i zabrała się do umieszczania w niej papierosa. Zgrabne, smukłe palce, a przy tym silne.

– Czym się zajmuje? – zapytałem.

Spojrzała na mnie, a w jej oczach błysnęły stalowe ogniki.

– Pyta pan: z czego żyje? – Po namyśle powiedziała: – Wi-
duje się z ludźmi.

Tym razem to ja oparłem się na krześle.

– Co pani ma na myśli?

– To, co mówię. Prawie zawsze, kiedy się spotykaliśmy, właśnie musiał pilnie wyjść. „Muszę zobaczyć się z pewnym facetem”. „Jest gość, z którym muszę się zobaczyć”. – Miała talent aktorski; zaczynałam budować sobie obraz pana Petersona. Chyba nie był w jej typie.

– Zajęty jegomość – stwierdziłam.

– Może i zajęty, ale, obawiam się, raczej bezowocnie. W każdym razie nie zauważyłby pan rezultatów jego zabiegów; ja z pewnością ich nie widziałam. Zapytany, mówi, że jest agentem gwiazd. Ludzie, z którymi musiał się tak pilnie spotykać, zazwyczaj mieli związek z jedną z wytwórni filmowych.

W ciekawy sposób mieszała czasy. Tak czy inaczej, odniosłam wrażenie, że ten Peterson to dla niej pieśń przeszłości. Po co więc chciała go znaleźć?

– Działa w branży filmowej? – spytałam.

– Nie powiedziałabym, że w. Raczej skrobie na obrzeżach. Odniósł pewien sukces z Mandy Rogers.

– Powinienem znać to nazwisko?

– Gwiazdka, pierwsza naiwna, jak by powiedział Nico. Niech pan sobie wyobrazi Jean Harlow bez talentu.

– Jean Harlow miała talent?

To wywołało jej uśmiech.

– Nico jest święcie przekonany, że wszystkie jego gęsi to łabędzie.

Wyjąłem fajkę i nabiłem. Nagle uzmysłowiłem sobie, że w mieszance znajduje się tytoń Cavendish. Postanowiłem nie dzielić się z nią tym spostrzeżeniem szczęśliwego zbiegu okoliczności, bo wyobraziłem sobie wymuszony uśmiech i towarzyszące mu pogardliwe drgnięcie kącika ust.

– Długo pani zna tego pana Petersona? – spytałam.

– Niedługo.

– Jak długie jest niedługo?

Wzruszyła ramionami, a raczej ledwo zauważalnie uniosła prawe ramię.

– Rok? – Zabrzmiało to jak pytanie. – Niech pomyślę. Poznaliśmy się latem. Chyba w sierpniu.

– Gdzie to było? Gdzie się poznaliście?

– W klubie Cahuilla. Zna go pan? W Palisades. Tereny do gry w polo, baseny, mnóstwo pięknych i bogatych. To takie miejsce, gdzie nie pozwoliliby przekroczyć bramy z elektronicznymi zabezpieczeniami takiemu szlifibrukowi jak pan. – Ostatniego zdania nie wypowiedziała, ale i tak je usłyszałem.

– Pani mąż o nim wie? O pani i Petersonie?

– Naprawdę nie potrafię powiedzieć.

– Nie potrafi pani, czy nie chce?

– Nie potrafię. – Spojrzała na kremowe rękawiczki rzucone na kolana. – Pan Cavendish i ja mamy... jak to określić? Układ.

– Jakiego rodzaju?

– Mało pan domyślny, panie Marlowe. Na pewno wie pan, o jakim układzie mówię. Mój mąż lubi konie do polo i kelnerczki, niekoniecznie w tej kolejności.

– A pani?

– Lubię wiele rzeczy. Przede wszystkim muzykę. Mój mąż reaguje na muzykę w dwojaki sposób, w zależności od nastroju i stopnia trzeźwości. Muzyka przyprawia go o mdłości albo wywołuje śmiech, a on nie śmieje się melodyjnie.

Wstałem od biurka, zabrałem fajkę do okna i zapatrzyłem się w dal. W biurze po drugiej stronie ulicy sekretarka w bluzce w szkocką kratę, ze słuchawkami dyktafonu w uszach, pochylała się nad maszyną do pisania. Kilkakrotnie mijałem ją na ulicy. Ładna buzia, nieśmiały uśmiech. Ot, dziewczyna mieszkająca z matką i przyrządzająca klopsa na niedzielny lunch. To jest miasto samotnych ludzi.

– Kiedy po raz ostatni widziała pani pana Petersona? – zapytałem, nie odrywając wzroku od pracującej panny Remington. W biurze zapadło milczenie, więc odwróciłem się. Najwyraźniej pani Cavendish nie miała zwyczaju mówić do czyichś pleców. – Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Często stoję w tym oknie, obserwując świat i jego obyczaje.

Wróciłem do biurka i usiadłem. Fajkę odłożyłem do popielniczki, spłotłem dłonie i oparłem podbródek na knykcjach, żeby pokazać, jak pilnie umiem słuchać. Postanowiła zaakceptować ten żarliwy pokaz pełnej, niepodzielnej koncentracji.

– Już panu mówiłam, kiedy go ostatnio widziałam: jakieś dwa miesiące temu.

– Gdzie?

– Tak się składa, że w Cahuilla. W niedzielne popołudnie. Mój mąż był zajęty wyjątkowo wyczerpującym chukkerem. To jest...

– Runda polo. Tak, wiem.

Pani Cavendish pochyliła się i strzepnęła popiół z papierosa obok cybucha mojej fajki. Nad biurkiem uniosła się lekka woń perfum. Pachniały jak Chanel N° 5, ale dla mnie wszystkie perfumy pachniały jak Chanel N° 5, w każdym razie do tamtej chwili.

– Czy pan Peterson zdradzał oznaki tego, że zamierzał zrejterować? – zapytałem.

– Zrejterować? Cóż za osobliwe słowo.

– Uznałem, że brzmi mniej dramatycznie niż „zniknął”, jak się pani wyraziła.

Z uśmiechem skinęła nieznacznie głową, przyznając mi rację.

– Zachowywał się tak jak zwykle – powiedziała. – Był może nieco bardziej roztargniony, nawet zdenerwowany, choć może tak mi się teraz wydaje. – Podobał mi się jej sposób mówienia;

przywodził na myśl porośnięte bluszczem mury czcigodnych uczelni oraz litery starych umów handlowych wykaligrafowanych na pergaminie. – Z pewnością nie dawał po sobie poznać, że zamierza... – Kolejny uśmiech. – Zrejterować.

Pograżyłem się w rozmyślaniach, pozwalając, by widziała, jak myślę.

– Proszę mi powiedzieć: kiedy zdała sobie pani sprawę, że odszedł? To znaczy, kiedy pani uznała, że... – Przyszła moja kolej, żeby się uśmiechnąć. – Zniknął.

– Kilkakrotnie do niego dzwoniłam, ale nie odpowiadał. Potem do niego pojechałam. Nie odwołano dostaw mleka, na werandzie piętrzyły się gazety. Zostawianie rzeczy w ten sposób nie było w jego stylu. Pod pewnymi względami był uważny.

– Udała się pani na policję?

– Policję? – Otworzyła szeroko oczy i pomyślałem, że się roześmieje. – To na nic. Nico nie przepadał za policją i nie podziękowałby mi, gdybym ich na niego napuściła.

– Dlaczego za nimi nie przepadał? – spytałem. – Miał coś do ukrycia?

– Czyż wszyscy czegoś nie ukrywamy, panie Marlowe? – Po-nownie uniosła urocze powieki.

– To zależy.

– Od czego?

– Od wielu rzeczy.

Rozmowa zataczała coraz większe kręgi, prowadząc donikąd.

– Pani Cavendish, pozwoli pani, że spytam: jak pani sądzi, co się stało z panem Petersonem?

Znowu to ledwo zauważalne wzruszenie ramion.

– Sama nie wiem, co myśleć. Dlatego przyszłam do pana.

Skinąłem głową – z nadzieją, że wyglądało to mądrze – sięgnąłem po fajkę i zacząłem wystukiwać resztki tytoniu. Fajka to

bardzo przydatny rekwizyt, jeśli człowiek chce sprawiać wrażenie zamyślnego i mądrego.

– Czy mogę spytać, dlaczego tak długo zwlekała pani z przyjściem do mnie?

– Długo? Myślałam, że się odezwie, że pewnego dnia zadzwoni telefon i on odezwie się do mnie z Meksyku czy innego miejsca.

– Czemu akurat z Meksyku?

– No to z Francji, z Lazurowego Wybrzeża. Albo z jeszcze bardziej egzotycznego miejsca, na przykład z Moskwy, Szanghaju, sama nie wiem. Nico lubił podróżować. To koło jego niepokój. – Nieznacznie wychyliła się do przodu i spytała z pewnym zniecierpliwieniem: – Przyjmie pan tę sprawę, panie Marlowe?

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniłem. – Ale jeszcze nie nazywajmy tego sprawą.

– Jakie są pańskie warunki?

– Zwyczajowe.

– Nie wiem, jakie są zwyczajowe warunki.

Nie przypuszczałem, że je zna.

– Depozyt wysokości stu dolarów, dwadzieścia pięć dolarów dziennie plus wydatki w okresie, gdy prowadzę dochodzenie.

– Ile może trwać takie dochodzenie?

– To również zależy.

Pani Cavendish zamilkła na chwilę i raz jeszcze otaksowała mnie wzrokiem, aż nieco się stropiłem.

– Jeszcze nie zapytał pan o mnie.

– Zmierzałem do tego okrężną drogą.

– Cóż, oszczędzę panu pracy. Moje panięskie nazwisko brzmi Langrishe. Słyszał pan o Langrishe Fragrances, Incorporated?

– Naturalnie. Firma perfumeryjna.

– Dorothea Langrishe jest moją matką. Już jako wdowa przyjechała tu ze mną z Irlandii i założyła w Los Angeles firmę. Skoro pan o niej słyszał, wie pan, jaki odniosła sukces. Pracuję dla niej, choć matka woli mówić, że pracuję z nią. W rezultacie jestem bardzo bogata. Chcę, żeby znalazł pan dla mnie Nico Petersona. To biedaczysko, ale moje własne. Zapłacę panu, ile pan zechce.

Przez moment zamierzałem znowu zająć się fajką, ale uznałem, że powtórzone przedstawienie będzie zbyt czytelne. Utkwiłem więc w mojej rozmówczyni puste spojrzenie.

– Jak już wspomniałem, pani Cavendish: sto dolarów, dwadzieścia pięć plus wydatki. Przy moim stylu pracy każda sprawa ma charakter wyjątkowy.

Uśmiechnęła się, ściągając usta w ciup.

– Sądziłam, że jeszcze nie chce pan nazywać tego sprawą.

Komentarz puściłem mimo uszu. Wysunąwszy szufladę, wyjąłem standardową umowę i pchnąłem ją ku niej po biurku końcem palca.

– Proszę to wziąć, przeczytać, a jeśli zgadza się pani na warunki, podpisać i mi zwrócić. Teraz proszę mi dać adres i numer telefonu pana Petersona. Jak również wszystko, co, pani zdaniem, może się okazać pomocne.

Przez chwilę patrzyła na umowę z taką miną, jakby zastanawiała się, czy ją wziąć, czy cisnąć mi w twarz. W końcu podniosła ją z biurka, starannie złożyła i schowała do torebki.

– Mieszka w West Hollywood, na tyłach Bay City Boulevard – powiedziała, ponownie otworzyła torebkę, wyjęła oprawiony w skórę notesik i cienki złoty ołówek. Napisawszy coś w notesiku, wyrwała kartkę i mi podała. – Napier Street. Proszę uważnie się rozglądać, bo inaczej pan ją przeoczy. Nico lubi ustronne miejsca.

– Z powodu nieśmiałości – dodałem.

Kiedy wstała, pozostałem za biurkiem i ponownie owionęła mnie woń perfum. Zatem nie Chanel, lecz Langrishe. Postanowiłem, że wytropię nazwę lub numer tych perfum.

– Potrzebuję też kontaktu z panią – rzuciłem.

– Zapisałam tam mój numer telefonu. – Wskazała trzymaną przeze mnie kartkę. – Proszę dzwonić, kiedy zajdzie potrzeba.

Przeczytałem adres: 444 Ocean Heights. Gdybym był sam, gwizdnąłbym. Jedynie ludzie z najwyższych sfer mogą sobie pozwolić na mieszkanie na prywatnych ulicach, tuż nad oceanem.

– Nie znam pani imienia – zauważyłem.

Z jakiegoś powodu oblała się lekkim rumieńcem, spuściła wzrok, potem szybko podniosła go znowu.

– Clare – powiedziała. – Bez „i”. Dostałam imię na cześć naszego ojczystego hrabstwa w Irlandii. – Z ironicznie-żałosnym grymasem dodała: – Moja matka jest dość sentymentalna na punkcie ojczyzny.

Kartkę z notesika schowałem do portfela i wyszedłem z biurka. Niezależnie od własnego wzrostu, przy pewnych kobietach czujesz się od nich niższy. Na Clare Cavendish patrzyłem z góry, ale odnosiłem wrażenie, że unoszę wzrok. Podała mi rękę i uścisnąłem ją. Pierwszy dotyk dwojga ludzi, choćby najkrótszy, to naprawdę coś.

Odprowadziłem ją do windy, posłała mi ostatni przelotny uśmiech i znikła.

Po powrocie do biura znowu zająłem pozycję przy oknie. Pracowita jak pszczołka panna Remington nadal stuknęła na maszynie. Siłą woli próbowałem ją skłonić, by na mnie spojrzała, ale bez skutku. Zresztą, co bym zrobił? Pomachałbym jak kretyń?

Pograżyłem się w rozmyślaniach o Clare Cavendish. Coś nie pasowało. Jako prywatny detektyw cieszę się pewną sławą, ale

dlatego córka Dorothei Langrishe z Ocean Heights i Bóg wie ilu jeszcze ekskluzywnych miejsc miałyby mi powierzać zadanie odnalezienia zaginionego mężczyzny? A przede wszystkim, dlaczego w ogóle zadała się z Nico Petersonem, który, jeśli jej opis odpowiadał rzeczywistości, musiał się okazać zwykłym tanim oszustem w drogim garniturze? Długie, zawile pytania, na których trudno się skupić, kiedy w pamięci ma się szczere, mądre oczy Clare Cavendish i migoczące w nich ogniki rozbawienia.

Odwróciwszy się, ujrzałem w rogu biurka fikę. Heban miał ten sam połyskliwy odcień czerni co oczy pani Cavendish. Zapomniała nie tylko o fifce, ale także o moim depozycie, ale to nie miało znaczenia.

2

Pani Cavendish miała rację: Napier Street nie afiszowała się, ale w porę ją dostrzegłem i skręciłem z bulwaru. Ulica wznosiła się łagodnie w stronę wzgórz majaczących w oddali w błękitnej mgiełce. Powoli sunąłem, odliczając numery domów. Ten należący do Petersona przypominał trochę japońską herbaciarnię, a przynajmniej moje wyobrażenie o japońskiej herbaciarni. Opasany werandą parterowy dom z ciemnej sosny czerwonej miał kryty łupkiem dach o kształcie ostrosłupa, z czterema łagodnie wznoszącymi się bokami zwieńczonymi kurkiem. Żaluzje w wąskich oknach opuszczono. Wszystko mówiło mi, że nikt tu od dawna nie mieszka, choć gazet już nie przybywało. Zaparkowawszy samochód, po trzech drewnianych stopniach wskoczyłem na werandę. Nasłonecznione ściany wydzielały zapach kreozotu. Nacisnąłem dzwonek, ale nie rozbrzmiał w środku, więc spróbowałem kołatki. Pusty dom potrafi wchłaniać odgłosy jak wyschnięty strumień wodę. Zbliżywszy oczy do przeszklonych drzwi, próbowałem zajrzeć przez koronkową zazdrostkę. Nie dostrzegłem nic prócz zwyczajnego salonu ze zwyczajnymi rzeczami.

– Nie ma go, bracie – rozległ się za mną głos.

Odróciłem się. Starszy jegomość miał na sobie wybla-

kłe niebieskie ogrodniczki i koszulę bez kołnierzyka. Głowa w kształcie skorupki orzeszka ziemnego, duża czaszka, długi podbródek i zapadnięte policzki, do tego bezzębne, nieco rozdziawione usta. Tygodniowy siwy zarost połyskiwał w słońcu. Taki mocno zapuszczony Gabby Hayes. Jedno oko miał zamknięte, drugim, przymrużonym, przyglądał mi się, powoli poruszając szczęką jak przeżuwiająca krowa.

– Szukam pana Petersona – wyjaśniłem.

Stary odwrócił głowę i splunął bez śliny.

– Powiedziałem ci, że nie ma go w domu.

Zszedłem po schodach. Zauważyłem, że trochę się zawahał, zastanawiając się pewnie, kim jestem i jakie mogę przynosić kłopoty. Wyjąłem papierosy i poczęstowałem go. Skwapliwie wziął jednego i przykleił sobie do dolnej wargi. Potarłem zapałkę o paznokieć kciuka i podałem mu ogień.

Z pobliskiej trawy wyskoczył świerszcz, jak kłown wystrzelony z armaty. Słońce mocno przypiekało, wiał gorący, suchy wiatr; cieszyłem się, że mam kapelusz. Stary stał z obnażoną głową, ale wyraźnie mu to nie wadziło. Głęboko zaciągnął się papierosem, zatrzymał dym w płucach, wreszcie wypuścił w kilku szarych smużkach.

Zużytą zapałkę cisnąłem w trawę.

– Nie powinieneś był tego robić – upomniał mnie stary. – Jak zaproszysz tu ogień, całe zachodnie Hollywood pójdzie z dymem.

– Znasz pana Petersona? – zapytałem.

– Jasne. – Ręką wskazał za siebie, na podupadającą chałupę w głębi ulicy. – Tam mieszkam. Czasami do mnie wpadał pogawędzić, częstował papierosami.

– Od jak dawna go nie ma?

– Niech pomyślę. – Znowu zmrużył oczy. – Ostatnim razem widziałem go chyba jakieś siedem, osiem tygodni temu.

– Przypuszczam, że nie wspominał, dokąd się wybiera.

Stary wzruszył ramionami.

– Nie widziałem, jak odjeżdża. Po prostu pewnego dnia zauważyłem, że go nie ma.

– Jak?

Spojrzał na mnie i potrząsnął głową, jakby miał wodę w uchu.

– Co: jak?

– Jak zauważyłeś, że go nie ma?

– Po prostu zniknął – rzucił i po chwili spytał: – Jesteś gliniarzem?

– Tak jakby.

– Co to znaczy?

– Prywatnym detektywem.

Stary zachichotał i charknął.

– Prywatny detektyw w ogóle nie jest gliniarzem. Może w marzeniach.

Westchnąłem. Kiedy słyszą, że pracujesz prywatnie, sądzą, że mogą ci wciskać każdy kit. Zresztą, pewnie tak jest. Stary szczerzył do mnie zęby w uśmiechu, zadowolony jak kura, co właśnie zniosła jajko.

Rozejrzałem się po ulicy. Tania knajpa Joe's. Pralnia Kwik Kleen. Warsztat samochodowy, gdzie mechanik grzebał we wnętrznościach bardzo marnie wyglądającego chevroleta. Wyobraziłem sobie, jak Clare Cavendish wysiada z eleganckiego auta i krzywi się na widok tej okolicy.

– Jakich ludzi tu sprowadzał? – spytałem.

– Ludzi?

– Przyjaciół. Kumpli od kieliszka. Znajomych z branży filmowej.

– Filmowej? – Stary zaczynał przypominać echo.

– Co ze znajomymi kobietami? Miał jakieś?

To pytanie wywołało gromki śmiech, ale nie był to odgłos miły dla ucha.

– Jakieś? – zaskrzeczał. – Słuchaj pan, ten gość miał tyle ciż, że nie wiedział, co z nimi robić. Prawie każdej nocy przywoził inną.

– Musiałeś uważnie się mu przyglądać.

– Po prostu go widywałem – odparował defensywnie i trochę się naburmuszył. – Robili taki rwetes, że mnie budzili. Pewnej nocy jedna z tych kobitek upuściła coś na chodniku, chyba butelkę szampana. Zabrzmiało to jak pocisk. Lalunia tylko się roześmiała.

– Sąsiedzi nie skarżyli się na te wybryki?

– Jacy niby sąsiedzi? – Stary spojrział na mnie z politowaniem i pogardą.

Skinąłem głową. Słońce nie chciało odpuścić. Otarłem kark chusteczką. W środku lata zdarzają się tu takie dni, kiedy słońce obrabia człowieka jak goryl banana.

– Cóż, dzięki – powiedziałem i wyminąłem starego.

Powietrze nad dachem mojego samochodu falowało. Wyobrażałem sobie gorący dotyk kierownicy. Czasami myślę o przeprowadzce do Anglii, gdzie ponoć nawet w lecie jest chłodno.

– Nie ty pierwszy o niego wypytyujesz – odezwał się za mną stary.

– Serio? – Odwróciłem się.

– W zeszłym tygodniu weszły tu dwóch Latynosów.

– Meksykanów?

– Przecież mówię. Dwóch. Wystrojeni od stóp do głów, ale Meksykanin w garniturze i eleganckim krawacie to nadal Meksykanin, nie?

Wcześniej słońce prażyło mi tylną, teraz przednią część ciała. Czuję pot zbierający się nad górną wargą.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Nie. Przyjechali samochodem, jakiego w życiu nie widziałem. Musiał być zrobiony u nich. Wysoki i szeroki jak łóżko w burdelu, z płóciennym dachem pełnym dziur.

– Kiedy to było?

– Dwa, trzy dni temu. Węszyli tu jakiś czas, zaglądali przez okna jak ty, potem wsiedli do samochodu i odjechali. – Kolejne splunięcie bez śliny. – Nie przepadam za Meksykanami.

– Coś podobnego.

Stary spojrzął na mnie kwaśno i pociągnął nosem.

Ponownie się odwróciłem i ruszyłem do rozgrzanego auta.

– Myślisz, że on wróci? – spytał stary.

Znów się zatrzymałem. Czułem się jak gość weselny próbujący się uwolnić od Starego Żeglarza.

– Wątpię – odparłem.

– No, pewnie nikt specjalnie za nim nie tęskni. – Kolejne pociągnięcie nosem. – Mimo to go lubiłem. – Stary wypalił papierosa, a półcentymetrowy niedopałek rzucił w trawę.

– Nie powinienesz być tego robić – powiedziałem, wsiadając do samochodu.

Kiedy dotknąłem kierownicy, zdziwiłem się, że nie rozległ się syk.